



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Halina Gniadek

## Z perspektywy pięciolatka

Wojna dla mnie zaczęła się już w łonie matki, a zaważyła na całym moim życiu. We wrześniu 1939 roku moja trzyletnia siostra tak się bała nalotów i alarmów, że dostała zapalenia opon mózgowych i w kilka dni później zmarła. Moja mama strasznie rozpacziała po jej śmierci, gdyż siostra moja podobno była bardzo rezolutnym dzieckiem.

Toteż, kiedy 26 października 1939 roku o czwartej rano w Warszawie ja przyszedłam na ten nie piękny świat, moja mama usiłowała wyrzucić mnie przez okno. Jak widać ktoś Jej to uniemożliwił. Pewnie dlatego pierwszy rok awanturowałam się przez całą noc.

Kiedy miałam rok i dwa miesiące do domu przyszło gestapo i zabrało mojego ojca. Jak większość dorosłych mężczyzn, działał On w organizacji podziemnej i ktoś zatrzymany wyspał resztę. Ojciec twierdzi do dzisiaj, że tak się zachowywałam, jakbym wszystko rozumiała.

Nie płakałam, tylko wpatrywałam się w ojca, jakbym chciała Go zapamiętać. Mówi również, że to moje spojrzenie trzymało Go przy życiu i dodawało sił na przetrwanie.

Po zabraniu ojca spałam z mamą i już nie płakałam w nocy. Oczywiście te fakty znam z opowiadania rodziców i babci. Jeszcze we wrześniu zbombardowano dom, w którym mieszkaliśmy i przenieśliśmy się do suterenu na ulicę Piękną. Mieszkaliśmy tam do upadku Powstania Warszawskiego.

Na podwórku stała figurka Matki Boskiej Niepokalanej, do której modlili się wspólnie wszyscy mieszkańcy, odprawiając nabożeństwa majowe lub różaniec. Pewnego razu uderzyła bomba w oficynę, została zabita matka p. Józefa – dozorca oraz córka aptekarzy. Część podwórka oraz wejście do klatki schodowej zostało zasypane tak, że wnoszono mnie do mieszkania przez okno.

Jak wspomniałam od urodzenia dawałam się we znaki. Mając cztery lata wpadłam do kloaki, na szczęście pustej – była po wybraniu nieczystości. Szukała mnie cała rodzina i sąsiedzi, ale znalazł mnie p. Józef i wyniósł po drabinie.

Często idąc ulicą Marszałkowską z babcią do kościoła św. Zbawiciela, gdy mijali nas Niemcy w swoich eleganckich mundurach, w butach z cholewami, w których można się było przejrzeć, mówiłam do babci, że chętnie bym ich kopnęła. Biedna babcia ze strachu zatykała mi buzię, gdyż bała się, że któryś z Niemców może to usłyszeć i zrozumieć. Jeszcze dziś wolę nie myśleć, co mogłoby się wtedy stać.

Innym razem, wiosną chyba w 1943 roku pojechałam z mamą do Skarżyska. Miałyśmy tam kuzynów. Moja kuzynka miała chyba 15 lub 16 lat i już pracowała w fabryce amunicji. Któregoś dnia z jakiegoś powodu nie pracowała, ale do fabryki poszła i wzięła mnie ze sobą. Kiedy stojąc rozmawiała z trzema Niemcami jeden z nich poczęstował mnie cukierkami. Odpowiedziałam, że nie chcę cukierka,

bo Niemcy zabrali mi tatusia. Kuzynka najadła się strachu, coś przekreśliła. Jeden z nich jednak coś zrozumiał, gdyż pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Oczywiście już nigdy więcej nie zabrała mnie ze sobą.

To były takie czasy, że 4,5-letnie dziecko czuło nie tylko zgrozę sytuacji, ale również buntowało się na swój dziecinny sposób. Sam widok Niemców napawał strachem. Kiedyś uciekając przed nimi zgubiłam sandały. Mama była zrozpaczona, bo trzeba było kupić nowe, a nie bardzo było za co. Były też momenty komiczne. Otóż mama zrobiła mi na drutach sukienkę. Ile to kosztuje pracy wie tylko ten, co robi na drutach. Sukienka była z resztek wełny o różnych kolorach, była bardzo ładna. Jednak nie podobały mi się supły, które były po lewej stronie sukienki. Weszłam pod stół i obciłam wszystkie supły. Oczywiście sukienka się rozleciała. Jedynej rzeczy nie rozumiałam, dlaczego moja mama rozplakała się, kiedy zobaczyła moje dzieło.

Cała okupacja była jednym ciągiem strachu. Z poziomu 5-letniego dziecka widać było przede wszystkim oficerki, które do dziś kojarzą mi się z Niemcami.

Nadszedł 1 sierpnia 1944 roku i Powstanie Warszawskie. Znów bomby, naloty, łapanki i strach, strach i strach. Warszawa z dnia na dzień stawała się wielkim gruzowiskiem.

Po upadku Powstania byliśmy jednymi z ostatnich, którzy opuszczali Warszawę. Szliśmy w stronę dworca, chyba Zachodniego. Pędzono nas szeroką drogą, przy której stały słupki z oznaczonymi kilometrami. Szłam ja, mama, babcia, dziadek i ciocia. Zapamiętałam, że na jednym z tych słupków usiadł mój dziadek i tam pozostał. Zobaczyłam Go dopiero po wojnie. Na dworcu przed wejściem do wagonów bydłęcych dorosłym dawano pajdę gliniastego razowego chleba, a dzieciom puszkę skondensowanego mleka. Następnie wepchnięto nas do wagonów i zamknięto je. Nie pamiętam jak długo jechaliśmy. Kiedy nas wypuszczono byliśmy na terenie obozu przejściowego w Pruszkowie. W obozie byłam z babcią, mamą i ciotką. Nie pamiętam też jak długo tam byliśmy, chyba kilka tygodni. Zapamiętałam tylko, że w dużej hali stały filary lub słupy, dookoła których leżały torby, walizki i różne zawiniątka, a na nich siedzieli ludzie. Przez środek hali przebiegały rowki, dość szerokie, do których ludzie załatwiali się i był straszny fetor.

Po jakimś czasie wypędzono nas na zewnątrz, ustawiono wszystkich po jednej stronie drogi, idącej przez środek zakładów. Na całej szerokości ustawili się Niemcy z psami, uzbrojeni w karabiny maszynowe i pistolety. Kilku z nich chodziło między nami i przeganiało na drugą stronę tej drogi młodych ludzi, którzy mieli być wysłani do Niemiec na roboty. W tej grupie znalazła się też moja mama i ciocia. Zostałam tylko z babcią. Wtedy babcia zaczęła mnie namawiać i prosić, abym przebiegła na drugą stronę ulicy, to może mamę puszcza. Nie miałam odwagi, paraliżował mnie strach, jednak się odważyłam i kiedy byłam w połowie drogi, Niemiec wymierzył z pistoletu do mamy, a ja w tym momencie stanęłam. Wystraszona patrzyłam to na mamę, to na babcię i nie wiedziałam co zrobić dalej. Nie wiem ile to trwało, może 30 sekund, może minutę, ale była to dla mnie wieczność. Potem Niemiec kiwnął ręką na mamę, żeby przeszła na naszą stronę. W ten właśnie sposób moja mama uniknęła wyjazdu do Niemiec na roboty. Po tej segregacji puszczone nas wolno. Wtedy w jakiś sposób dotarliśmy do znajomych pod Częstochową.

Kiedy byliśmy już na miejscu, okazało się, że jest nas trzynaście osób z Warszawy. Rodzina mojego późniejszego wujka żywiła nas do wyzwolenia. W jednej izbie rozkładane były snopki słomy, na nich leżały lniane płachty i wszyscy jak śledzie spali, przykryci czym się dało. Z jednej strony spała mama, a z drugiej pani, o której mówili „stara pani”. Ta pani dbała bardzo o swoją cerę i co wieczór zuła siemię lniane, a potem nakładała na twarz i tak spała. Kiedyś obudziłam się i w świetle księżycy zobaczyłam jej twarz, wystraszona krzyczałam, że ją pluskwy zjedzą.

Na tyłach obejścia naszych gospodarzy była baza GS-u, w której stacjonował Wehrmacht. Wielu żołnierzy Wehrmachtu zaprzyjaźniło się z okolicznymi gospodarzami. Odwiedzali te rodziny, przynosili kawę, czekolady i rozmawiali o swoich rodzinach. Myślę, że brak im było własnych rodzin i chcieli się ogrzać ciepłem rodzinnym innych. W lutym Niemcy w wielkim pośpiechu zaczęli się zbierać do odjazdu, gdyż wiadomo było, że zbliżają się Rosjanie. Kobiety bardzo bały się Rosjan, brudziły sobie twarze, nakładały na głowy chustki i wyciągały spod nich siwe włosy. Każda chciała wyglądać jak najbrzydziej. Kiedy już przyszli, to poza strachem, było też trochę śmiechu, który rozładowywał napięcie. Otóż jeden Rosjanin znalazł tarę blaszaną i próbował na niej grać, myśląc, że jest to instrument muzyczny.

Po przejściu frontu moje panie zdecydowały, że wracamy do Warszawy. Mrozy były – 36°, a nocowałyśmy w przypadkowych domach, gdzie chcieli nas przyjąć na nocleg. Ja, niespełna sześciolatnie dziecko musiałam iść, gdyż byłam za duża, żeby niosła mnie mama. Szłam otulona jakimiś chustami i w za dużych butach. Nieważne było, że nogi mi sztywniały, musiałam iść, gdyż w przeciwnym razie bym je odmroziła. Jedynym luksusem była mufka.

Z całej wędrówki utkwiła mi w pamięci jedna noc. Jak co dzień mama zapukała do przydrożnego domu, aby prosić o nocleg. Otworzono nam i zaproszono do środka. Okazało się, że był to dom ludzi, którzy mieliłam piekarnię. Właśnie tam spałam pod białą powleczoną pierzyną i na śniadanie jadłam

chrupiące i pachnące kajzerki. Był to wtedy luksus. Ani wcześniej ani później już nigdy nie smakowały mi tak żadne bułki.

Nareszcie dotarliśmy do Warszawy. Był koniec lutego 1945 roku. Weszliśmy w tunele z gruzu, co najmniej do drugiego piętra. Był to dla mnie widok przytłaczający a jednocześnie przygnębiający. Czułam się bardzo malutka wśród tych ruin. Na resztkach murów wisiały kartki z wiadomościami, że ktoś jest tu lub tam i że żyje. Nie pamiętam czy właśnie dzięki takiej kartce znalazłyśmy dziadka, który już ulokował się w pokoiku 12 metrów kwadratowych przy ulicy Żurawiej. Było to mieszkanie pięciopokojowe i w każdym pokoju mieszkała inna rodzina. Był to okres bardzo ciężki, ale już wolny od strachu. Wystawałam w kolejce po wodę. Codziennie musiałam obrać kilkanaście kilogramów ziemniaków, gdyż mama z babcią gotowały pyzy i sprzedawały je na placu róg Wspólnej i Marszałkowskiej.

Na wiosnę 1946 roku wróciła nasza znajoma i otworzyła sklep na Pięknej. Było tam „mydło i powidło”. Mama w tym sklepie zaczęła sprzedawać. Mną opiekowała się babcia. Pewnego razu babcia wysłała mnie do wujka po smalec na drugą stronę ulicy. Kiedy przebiegłam przez jezdnię, przewróciłam się i człowiek jadący na rowerze przejechał po mnie. Nie zdążył zahamować, bo było za blisko. Do dziś nie przyznałam się do tego zdarzenia i aż dziwne, że jestem prosta, choć z kręgosłupem mam problemy od młodości.

We wrześniu 1946 roku poszłam do Szkoły nr 1, pierwszej po wojnie, która mieściła się w ocalałym budynku na rogu Marszałkowskiej i Żurawiej.

Może moje wspomnienia nie są mrożące krew w żyłach, ale minęło wiele czasu, patrzę z dystansu, mam poczucie humoru i wolę wspominać rzeczy bardziej zabawne niż te dramatyczne.

O tym, że czasy te były dla mnie tragiczne może świadczyć fakt, że do piętnastego roku życia nocą nękały mnie koszmary, albo gonili mnie Niemcy, albo strzelali lub chcieli powiesić. Wtedy uciekałam zrywając się z łóżka i najczęściej nabijałam sobie guza lub siniaka o szafę lub inny mebel.

W maju 1947 roku wrócił mój ojciec i tu zaczęła się nowa epoka mojego smutnego dzieciństwa. Nie znaliśmy się i nie mogliśmy się porozumieć. Mimo, że się kochaliśmy, nie rozumieliśmy się. Nie było Go przy mnie w pierwszych latach mego życia. Wyidealizowałam Go sobie, a wrócił do nas jako normalny człowiek ze wszystkimi zaletami i wadami. Nie wyszło nam to na dobre. Odbija się to na naszych stosunkach do dziś, nad czym bardzo boleję. Jest to jednak cena, którą płacimy za przeżycia wojenne.

Za jedno jestem wdzięczna rodzicom, że nie uczyli mnie nienawiści ani do Niemców, ani do nikogo innego. Pewne jest to, że nie życzę nawet wrogowi takiego dzieciństwa.

Oby żadne następne pokolenia nie zaznały strachu oraz doświadczeń wojny.